



Nie bój się, tylko wierz

Józef Bałuczyński

Przedmowa

Świadczenie mojego życia składałem wielokrotnie braciom i siostram w Kościele w Słupsku, oraz wszędzie tam, gdzie byłem zaproszony do głoszenia Słowa Bożego. Bardzo często slyszalem słowa, „dlaczego nie wydasz swoich świadectw w formie książkowej?” Rzeczywiście, dlaczego nie?

Zastanawiałem się. Przecież działanie mocy Bożej w moim życiu oddaje chwałę Bogu, a nie mnie. Będąc w podeszłym wieku mogę spodziewać się, że w każdej chwili Bóg odwoła mnie do siebie. Moim pragnieniem jest, by czytelnik wzmocnił swoją wiarę czytając moje świadectwo i to, aby stało się ono błogosławieństwem dla każdego.

Słupsk, czerwiec 2006 r. Józef Bałuczyński

Jest pochmurny, deszczowy dzień majowy. Patrzę przez okno i widzę jak wiatr kołysze gałązkami drzew, a deszcz małymi kropelkami, ciągle bije delikatnie w szyby.

To nie najlepsza pora na spacer, ani też na pracę w ogrodzie, którą bardzo lubię. Jest to czas na rozmyślanie, wspomnianie, rozważanie i ocenianie tego, co wydarzyło się w moim życiu.

Zastanawiam się nad życiem, które tak szybko mija, zbliżając nas bezpowrotnie do Kochanego Ojca w niebie, Stwórcy nieba i ziemi - do wieczności.

Z jednej strony - chciałoby się tam być, a z drugiej - mam świadomość tego, że wielu ludzi nie zna Boga i trzeba im zanieść Dobrą Nowinę o zbawieniu w Jezusie Chrystusie.

Widzę krzątającą się w kuchni moją kochaną żonę, a myśli biegną wstecz do czasu dzieciństwa, młodości, dojrzałości i służby dla Pana. Myślę - Boże Ojcze mój -jak wiele łask mi udzieliłeś, przeprowadziłeś mnie bezpiecznie przez wiele prób, z których wyszedłem zwycięsko. Czym ja jestem, że tak bardzo mnie ukochałeś? Mogę tylko w zachwycie złożyć Ci hold. Powiedzieć, że jestem Ci bardzo wdzięczny za wszystko. Podziwiam Twoją wielkość i potęgę!

A kimże jestem ja? Wobec Ciebie jestem tylko prochem, lub parą, która na chwilę się pojawia i niebawem znika -jak mówi Twoje Słowo. Chwała Ci!

Na każdym kroku mojej pielgrzymki na tej ziemi czułem Twą obecność, opiekę i błogosławieństwo. Chylę pokornie głowę przed Tobą - moim Bogiem i chcę Ci powiedzieć tylko to, że Cię kocham! Dzięki Ci, że jesteś, jaki Jesteś!

Chwała Tobie!

Wszystko cokolwiek w życiu robiłem, czyniłem z myślą o moim Ojcu w niebie, chcąc się Mu podobać. Teraz wiem, że była to dobra droga i nie wyobrażam sobie innej. Nie chciałbym innej.

Mam już 85 lat i mieszkam w naszym własnym domku z ogródkiem. Wychowaliśmy już czworo dzieci: dwie córki (Bogusię i Mariolę) i dwóch synów (Olka i Sławka).

Wszystkie nasze dzieci są już dorosłe i samodzielne, pozakładały własne rodziny. Nasze modlitwy zanoszone do Pana w sprawie opieki i powodzenia w ich życiu zostały wysłuchane. Mariola i Robert mieszkają na stałe w Ameryce. Robert jest doktorem teologii i wyklada w szkole biblijnej w Springfield w stanie Missouri. Olek z Rodziną mieszka obecnie w Anglii. Olek pełnił przez wiele lat służbę pastorską w Polsce. Teraz jest w Anglii i udziela się czynnie w służbie misyjnej. Tylko Bogusia mieszka w Polsce, w Gdyni. Jej mąż, Józef, będąc zawodowym żołnierzem w randze komandora, uwierzył w Chrystusa słuchając zwiastowanego w naszym domu Słowa. Obecnie jest on pastorem Kościoła Zielonoświątkowego w Lęborku. Życie naszych dzieci oraz to, co osiągnęły - potwierdza obecność Bożą na drodze, po której kroczą. Wiem, że to również jest wielką łaską. Chwała Ci Ojcze!

Dobry Bóg dał mi dużo wolnego czasu, gdyż jestem na emeryturze. Mogę więc opisać moje najważniejsze chwile w życiu. Idąc śladami Jezusa Chrystusa, jak w kalejdoskopie przewijają się przed moimi oczami obrazy z dzieciństwa. Są tak wyraźne i nie zatarte, że widzę je w jaskrawym świetle, jak gdyby to było wczoraj.



*Eugenia i Józef Baluczyński.
2004 r.*



Franciszek Baluczyński z żoną i dziećmi



Od prawej siedzą: Józef Baluczyński z żoną Eugenią. Od lewej stoją: Estera Baluczyńska - córka Aleksandra, Aleksander Baluczyński - syn Józefa i Eugenii, Anna Baluczyńska - żona Aleksandra, Mariola (z córką Kalistą) - córka Józefa i Eugenii, dr Robert Starner - mąż Marioli, Bogusława Wziątek - córka Józefa i Eugenii, Józef Wziątek - mąż Bogusławy, Marcin Baluczyński - syn Aleksandra Baluczyńskiego. Gdynia, 1994 r

Jak ewangelia dotarła do naszej wioski?

W jaki sposób dotarła ewangelia do naszej wioski Książego? Było to tak: trzy domy dalej od naszego żyła rodzina Fedyszynów. Ojciec Semko umarł i po niedługim czasie umarła też jego małżonka, Anna. Jak umierała, to sąsiedzi pytali: „A z kim ty zostawisz swoje dzieci?” (Miała dwóch synów: jeden nazywał się Grzegorz, a drugiego imienia nie pamiętam). Ona odpowiedziała: „Zostawiam swoje dzieci Bogu.” Grzegorza i jego brata zabrał do siebie ich wujek. Grzegorz służył u niego pasąc gęsi, krowy i kozy. Wujek Grzegorza był alkoholikiem. Wszystko przepijał. Pewnego razu sprzedał konia, a wszystkie pieniądze otrzymane ze sprzedaży - przegrał w karty.

Grzegorz poszedł do szkoły w Książem i uczył się nieźle. Chodził na religię i zadawał księdzu grekokatolickiemu różne pytania. Mówili o nim, że jest mądrym chłopcem. Kiedy skończył szkołę

i szedł na Wołyń, aby uczyć się na szewca, pewnego razu zatrzymał jadącą drogą furmankę. Siedzący na niej gospodarz zaczął po drodze opowiadać Grzegorzowi o Chrystusie. Ten zainteresował się usłyszaną historią i przyjął całym sercem zwiastowaną Ewangelię. Będąc na Wołyniu, zapoznał się też z innymi wierzącymi ludźmi. Później wyjechał na Śląsk Cieszyński. Po powrocie do Książego, będąc pełen poznania Słowa Bożego - postanowił rozpocząć naukę w szkole biblijnej w Gdańsku. Po jej ukończeniu, gdy znowu wrócił do Książego, świadczył odważnie o Panu Jezusie Chrystusie. Słuchając go moi rodzeni bracia, Franciszek i Leopold, uwierzyli w Słowo Boże. Pracowali później razem dla Pana. Wtedy przynieśli słowo nauki apostoelskiej do naszego domu i moja mama uwierzyła całym sercem w Pana Jezusa. Ewangelię przyjął także mój wujek, Hilko Fedyszyn, który wraz z całym domem zaczął służyć Panu.

Będąc małym chłopcem, i ja także miałem możliwość poznać Słowo Boże. Wcześniej też zrozumiałem, że Kościół Katolicki nie głosi szczerze nauki Chrystusowej. Z powodu naszego odmiennego zdania cała wieś stała się nam przeciwna i zwalczała „nową” wiarę, a księża nas wyśmiewali. Kiedy w pierwszym roku zorganizowano wyjazd do miasta Złoczowa na Pierwszą Komunię, nie miałem ochoty jechać, ponieważ wiedziałem, że w Piśmie Świętym nic nie jest napisane o obowiązku spowiedzi osobom duchownym. Nie mogłem się jednak sprzeciwić postanowieniom mojego taty, który był radnym w gminie. Zbierał od ludzi podatki, a także był przewodniczącym komitetu rodziców w szkole. Mój ojciec był niezadowolony, że synowie poszli do „sekty Sztundystów”. Kiedy nas, dzieci, przywieziono do Złoczowa pod kościół, ksiądz, który uczył nas katechezy, przywitał nas słowami: „Wy capie krasy, wy brudasy!” Używał też i innych mocnych słów... Dziewczęta musiały śpiewać: „Piękna róża, piękny Fiolek, ksiądz Sempowicz jak aniołek.” Postanowiłem wtedy, że ostatni raz jestem przy takiej spowiedzi, że takiego pasterza nie chcę więcej słuchać. Chodziłem po znajomych w Książem z ewangelią. Głosiłem Słowo Boże i postanowiłem, że gdy przyjdzie czas, będę całkowicie oddany Bogu. Niestety bracia Franciszek i Leopold poszli na wojnę. Ja byłem jeszcze na to za młody. Nasze gospodarstwo się spaliło. Jesienią przyszło wojsko radzieckie, a z nim ogromna bieda. Musieliśmy odbudować dom i gospodarstwo. Władza naciskała, aby zapisać się do Kolchozu, a ludzie się tego bali, bo trzeba było wszystko oddać, a samemu iść do roboty do kolchozu. My baliśmy się oddać wszystko i wyjechaliśmy z ojcem do lasów w Dalekich Bajmakach. Tam wywoziliśmy końmi drzewo z lasu. Nie mieliśmy się w co ubrać, a zima była tamtego roku bardzo sroga. Spaliśmy nocami na śniegu, podkładając sobie trochę gałęzi, aby nie ciągnęło zimno. Ojciec był już w podeszłym wieku. Miał siedemdziesiąt lat.

Odbывała się wywózka kolonistów na Sybir. Matka starała się, ażeby w domu był upieczony chleb na drogę. Czekaliśmy, kiedy nastąpi chwila wywiezienia i kiedy postawią dla nas bydłecze wagony. Grzegorza Fedyszyna aresztowali, ponieważ był redaktorem czasopisma ukraińskiego „Ewanhelskij Holos”, następnie został rozstrzelany w więzieniu w Złoczowie. Potem wkroczyli Niemcy. Nie trwało długo i musiałem iść do przymusowej pracy. Znowu nie byłem wolny. Przewadziłem życie chrześcijańskie (nie piłem, nie paliłem i oczekiwałem, kiedy przyjdzie czas, abym mógł gdzieś w świecie służyć Bogu). Jak uczy Słowo Boże - dobrze jest oczekiwać! I nadszedł czas, że moje marzenia się spełniły - po wojnie. Przyszedł ten czas i wypełniło się Słowo Boże, tak że Pan mógł użyć mnie w swojej pracy i służbie dla Kościoła.

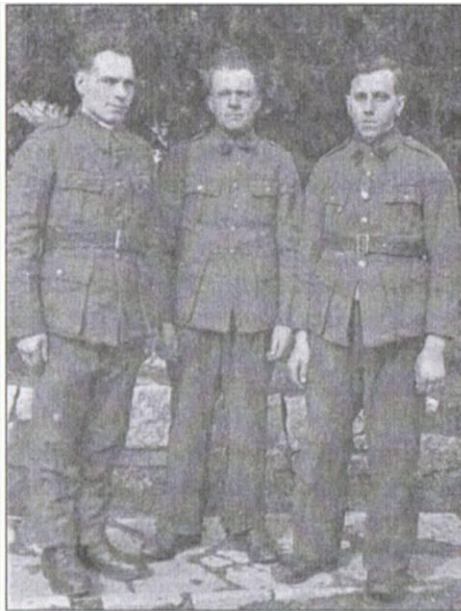
Urodziłem się 26 lutego 1922 roku w pięknej wsi Książę, liczącej ponad 300 gospodarstw rolnych. Wieś jest położona niedaleko miasta Złoczowa, około 65 kilometrów od Lwowa. Obecnie te tereny należą do Ukrainy, lecz przed Drugą Wojną Światową należały do Polski. Tutaj właśnie mieliśmy około 10-hektarowe gospodarstwo rolne, które uprawialiśmy z dziada pradziada. Zapal do pracy nigdy nie opuszczał mego ojca, który uprawiał nie tylko własną ziemię, ale także pola małorolnych chłopów. Byli to biedniejsi ludzie, którzy nie mieli własnych koni, więc pożyczali je od nas. Nie mając czym zapłacić za usługę, odpracowywali ją w czasie żniw.

Mój ojciec był człowiekiem wielkiego serca. Miał wiele miłości do ludzi. Potrafił się głęboko

wczuć w ich sytuacje. Wiele razy, gdy ktoś był biedny i miał słabe zdrowie, ojciec nie oczekiwał od niego zapłaty za pracę, którą wykonywał na jego polu. Pamiętam pewne zdarzenie, gdy jednej rodzinie zginęła krowa -jedyna żywicielka rodziny. Wówczas ojciec oddał im swoją, ażeby poprawić ich byt. Z rozrzewnieniem wspominam te beztrioskie lata dzieciństwa, do czasu, gdy rozpoczął się koszmar Drugiej Wojny Światowej.

Ale o tym, co przeżyliśmy w czasie wojny, napiszę nieco dalej. Teraz zaś rozkoszuje się myślami z dziecinnych lat.

W porównaniu do otaczającej nas biedoty - powodziło nam się dobrze. Żyliśmy w dobrych stosunkach z ludźmi i byliśmy szanowani. Głodu nie zazналиśmy, gdyż mieliśmy własny dom, żyzne gleby, las, łąki, krowy, konie, trzodę chlewną i drób. Mielliśmy pod dostatkiem mleka, z którego wytwarzaliśmy różne produkty spożywcze. Miałem też pięciu braci. Matka żalowała, że nie miała ani jednej córki.



*Od lewej stoją: Marian Bałuczyński,
J. Kanasiuk, Leon Bożowicz. Zdjęcie powojenne*



*Leopold Bałuczyński.
Zdjęcie współczesne*

Imiona moich braci: Staszek, Julik, Franek, Leopold i Marian. Ja, Józef, byłem najmłodszym z rodzeństwa. Staszek zmarł będąc małym chłopcem. Brat Julik umarł w czasie Pierwszej Wojny Światowej. Spadł z konia łamiąc obie nogi. Podczas wojny nie było opieki lekarza, dlatego wdała się gangrena i umarł. Wówczas moja mama przeżywając śmierć syna, zachorowała na serce i już nigdy nie odzyskała zdrowia.

Tymczasem pracy w gospodarstwie nie ubywało, a moi bracia -Franciszek i Leopold niechętnie pracowali na roli. Postanowili uczyć się rzemiosła. Będąc najmłodszym z braci musiałem zostać w domu zgodnie z postanowieniem rodziców i służyć pomocą chorej mamie. Wiązało się to z koniecznością przerwania nauki w szkole powszechnej. Było mi bardzo przykro z takiego obrotu sprawy. Bardzo zazdrościłem kolegom mogącym kontynuować naukę. Byłem zdolny i lubiłem się uczyć. W szkole powszechnej, gdy nauczycielka wychodziła z klasy, zostawiała mi książkę, abym ją czytał pozostałym dzieciom. Pragnienie czytania książek zaspakajałem w ten sposób, że w wolnych chwilach, przeważnie wieczorem, wyciągałem dużą Biblię w tłumaczeniu Jakuba Wujka i głośno czytałem fragmenty mówiące o śmierci Jezusa, Jego męce, o ukrzyżowaniu i zmartwychwstaniu, a także

o plagach, jakie będą się działy przy końcu świata. Biblia należała do moich braci, którzy nawrócili się wcześniej i przeżywali dobre chwile z Panem.

Rodzice słuchając Słowa Bożego byli bardzo poruszeni i nieraz wspólnie plakaliśmy, gdy czytałem o mękach Pana Jezusa Chrystusa. Ojciec często pożyczał pieniądze potrzebującym,

nawet wówczas, gdy nie było nadziei na ich odzyskanie.

Ludzie mówili: „Bałuczyński zawsze pożyczycy i nigdy nie odmówi pomocy.” Teraz, gdy znam Słowo Boże wiem, że kto sieje dobre ziarno, to i żąć będzie.

Bóg zawsze błogosławi darczyńcom.

Moje dzieciństwo przyćmiewał fakt, że byłem garbaty. Rozwijałem się i rosłem, a mój garb - razem ze mną. Matka patrząc na mnie zamartwiała się: „Wszyscy synowie zdrowi, a najmłodszy będzie kaleką. Jak on poradzi sobie w życiu?” - mówiła. Myślę, że oprócz mnie modlili się o mnie moi bracia, a także matka, wiedząc, że Pan Jezus uzdrawia i mnie również może uleczyć z kalectwa. Postanowiłem więc naśladować Jezusa w moim życiu. Któregoś dnia, chodząc po domu, przypadkiem spojrziałem w lustro, które wisiało na ścianie i zobaczyłem, że mój garb zniknął, a ramię się wyrównało! Stałem prosto przed lustrem i nie dowierzałem własnym oczom. Było to działanie miłościwego i wszechmocnego Boga, który wysłuchał naszych modlitw.

Uczynił to dla mnie bezboleśnie i bez ingerencji lekarza. Z kaleki uczynił zdrowego człowieka. Dokładnie tak, jak działo się w czasach opisanych w Ewangeliach. Alleluja! Chwała Ci Jezu! Ty jesteś wczoraj i dziś i na wieki ten sam! Dziękuję! Wyobrażam sobie radość moich rodziców, którzy otrzymali w darze od Boga - zdrowe dziecko!

Młodość i czas wojenny

Niedługo po moim uzdrowieniu moja wiara musiała doświadczyć próby.

Był maj 1939 roku. Jadąc z rodziną na pole sadzić ziemniaki, mój brat obejrzał się nagle za siebie. Zauważył, że nasz dom stał w płomieniach. Zanim zdążyliśmy zawrócić - spłonęła już większa część dobytku. Spaliły się także inne gospodarstwa. Zostaliśmy bez dachu nad głową. Na szczęście ocalało bydło, gdyż dobrzy ludzie odwiązali je z łańcuchów i wypuścili. Rozpoczęliśmy budowę budynków gospo-

darczych, by można było zgromadzić zbiory i bydło. Rozpoczęta budowa domu jeszcze nie została zakończona, gdy przyszło to, co najgorsze - Druga Wojna Światowa. Czas trudny do przetrwania. Trudny okres mojej młodości. Pierwszego września 1939 roku Niemcy hitlerowskie uderzyły na Polskę.

To był poranek, jakiego nikt z nas się nie spodziewał, który zapamiętałem na całe moje życie.

Pamiętam, była wtedy długa, sucha jesień. W tym czasie na dworze było jeszcze ciemno. Spaliśmy spokojnie, odpoczywając po ciężkim dniu codziennej pracy. Nagle obudziło nas głośnie pukanie do okna przez gońca naszej gminy, który krzychał: „Mobilizacja, wojna. NATYCHMIAST mają się stawić Bałuczyńscy: Franciszek, Leopold i Marian do 52 pułku piechoty w Złoczowie”. Pamiętam raniutko moich trzech braci żegnało się całując matkę i ojca. Mama bardzo płakała. Franciszek musiał wracać się z podwórza by ją przytulić i powiedzieć: „Mamo, nie płacz!”

Bracia będąc dorośli, wszystko zostawili: ubrania, obuwie, rowery. Najsmutniejsze z tego wszystkiego było to, że dom opustoszał. Ja byłem jeszcze w wieku przedpoborowym, więc zostałem z rodzicami.

Matka bardzo przeżywała. Serce krwawiło po synach i każdego dnia my, którzy zostaliśmy w domu - bardzo tęskniliśmy. Mama posyłała mnie codziennie na zachodnią stronę wioski mówiąc: „Wyjdź Józiu, może będzie któryś ranny. Pomożesz mu wtedy dostać się do domu”. Patrzyliśmy, jak żołnierze wracali ze strony zachodniej, jadąc wozami. Bardziej ranni leżeli na wozach, ci będący w lepszej kondycji prowadzili wozy konne. Wychodziłem tak przez prawie dwa tygodnie, siadałem pod figurą przy drodze. Przy drodze, pod którą była mogiła zbiorowa z czasu Pierwszej Wojny Światowej, z pogrzebanymi ciałami żołnierzy austriackich i rosyjskich. Z tego, co wiem, poginęli podczas szturmów na bagnety.

Siedząc przy drodze przez prawie dwa tygodnie, widziałem, jak wielu rannych wracało do swych domów z frontu. Jednak moich braci nie było. Dopiero po kilku miesiącach dowiedzieliśmy się, że wszyscy bracia są żywi i dostali się do niewoli niemieckiej w Netlingen.

Dopiero po 30 latach rozłąki zobaczyłem Franciszka w Minneapolis. Nie mogłem go rozpoznać.

Kiedy opuszczał dom, był młody, a gdy go zobaczyłem teraz, był już stary, garbaty. Mówiono mi, że można rozpoznać człowieka po zmarszczkach mimicznych, dzięki temu go właśnie rozpoznałem. Była to dla mnie szczególna chwila radości, kiedy mogłem zobaczyć brata po tylu latach...

Po ataku Niemiec na nasz kraj, w kilkanaście dni później, także Związek Radziecki, działając w porozumieniu z Niemcami, napadł na Polskę. Na podstawie tajnego paktu Ribbentrop-Mołotow, Związek Radziecki zajął wschodnią część Polski, a w tym także nasze okolice. Dla wszystkich Polaków rozpoczął się koszmar. Zmuszano nas abyśmy przystępowali do Kolchozów. Ludzie byli zastraszeni. My mieliśmy jeszcze przywilej polegający na tym, iż sami zaprzęgaliśmy konie i jechaliśmy do pracy przymusowej do lasów w Dalekich Bajmakach. Pracując tak całe dni, ledwo po harówce wracaliśmy do domu, a już trzeba było z powrotem jechać do lasu i wywozić ciężkie drzewa, by dostarczyć je na wskazane miejsce. Zima była sroga a my nie mieliśmy dachu nad głową. Od mrozu dosłownie trzeszczały i pękały drzewa, a my spaliliśmy na tym mrozie. Robiliśmy sobie posłanie z gałęzi, żeby nie leżeć bezpośrednio na śniegu. Nie mieliśmy też żadnego nakrycia, oprócz naszych starych kurtek. Rozpalaliśmy ognisko, które dawało nam trochę ciepła.

W roku 1941 Niemcy zaatakowały swego dotychczasowego sojusznika - Związek Radziecki. 22 czerwca nad naszymi głowami rozpetęła się bitwa powietrzna, którą wygrały samoloty niemieckie. Armia Radziecka opuszczała zajęte tereny, grabiąc, co się tylko dało.

Granat NKWDzisty

Kolega ze względu na grabież Rosjan, doradził mi, ażebym wyprowadził konia i ukrył się z nim w lesie, inaczej zabrają go nam żołnierze. Skorzystałem z tej rady, dosiadłem konia i ruszyłem do lasu. Nie wiedziałem jednak, że śledził mnie oficer NKWD, gdy jadąc obejrzałem się do tyłu, zobaczyłem jak NKWDzista pędzi na spienionym koniu z granatem w ręku. Ukryłem się wraz z koniem w krzaku wierzby, kładąc się na poszyciu leśnym. Mój koń cicho stał obok mnie. Oficer NKWD podjechał konno do krzaka, w którym się schowałem i zamachnął się, żeby cisnąć w moim kierunku granatem... Ale chwała Jezusowi, bowiem Bóg zaślepił mu oczy. Patrzył wprost na mnie i nie widział mnie! Dziwiło mnie też zachowanie konia, który stał spokojnie i ani drgnął. Zdezorientowany oficer odjechał. Do dziś mam jego zdesperowaną, brudną twarz przed oczami. Jakże dziękowałem Bogu za to, że chociaż pozwolił wówczas śmierci zajrzeć mi w oczy, to jednak nie dopuścił do tego, abym zginął.

Teraz, z perspektywy czasu, myślę, że Bóg miał inny plan. Chciał mnie użyć w swojej służbie, dlatego strzegł mnie w każdym miejscu i czasie.

Chwała Ci Ojcze! Było to moje pierwsze doświadczenie związane z ryzykiem śmierci. W czasie wojny jeszcze trzykrotnie doświadczyłem cudownej ochrony Bożej przed śmiercią. Chwała Ci Panie!

Kiedy na nasze tereny weszli Niemcy, zmuszali różne „roczniki” -podobnie jak Rosjanie - do robót na rzecz okupanta. Mnie skierowano do pracy przy nasypie bocznicy w Tarnopolu, a później do budowy mostu kolejowego w Zarwanicy, gdzie z polskiej kopalni wywożono węgiel do Niemiec. Niemcy obiecali nam, że po upływie sześciu miesięcy powrócimy do domu. Jednak potem okres pracy przymusowej przedłużono na czas nieokreślony. Od harówki i głodu puchły nam nogi. Karmiono nas rano kromką chleba z marmoladą. Na obiad zaś dawano nam zupę kartoflaną z listkami kapusty, albo zupę ze ślimakami, które przywożono w beczkach. Nie byłem w stanie ich przelknąć, gdyż nigdy wcześniej nie jadłem takich „wykwintnych” rzeczy. Postanowiłem uciec i wrócić do domu, by pomagać moim chorym rodzicom, którzy byli już w podeszłym wieku.

Niedługo jednak cieszyłem się wolnością. Wkrótce zostałem schwytany i od razu przywieziony na przesłuchanie. Niektórzy byli na przesłuchaniu, po którym zostali od razu skierowani do ciężkiego Lagru. Pytano mnie czemu uciekłem. Tłumaczyłem, że odpracowałem już sześć

miesiący, zgodnie z tym, co było powiedziane i nie rozumiem dlaczego nie chcieli mnie zwolnić. Bardzo bronił mnie oficer śledczy. Choć inni się opierali, on mnie bronił. Poszedłem na tydzień do więzienia. Cella była bardzo mała. Nie było w niej łóżka ani żadnego innego mebla, ale strażnik był znajomy i dał mi klucze, abym mógł sobie wychodzić. Kazał mi on z czujnie wypatrywać z baraku, czy nie jedzie szef. Więc obserwowałem z baraków, w których mieszkaliśmy, mając klucze przy sobie. Pewnego dnia wsiadłem do pociągu i nawet pojechałem do domu, ażeby się pokazać rodzicom. Po upływie kary nadal pracowałem, ponieważ po wybudowaniu wiaduktu przenieśli nas do Złoczowa do pracy przy torach kolejowych.

Z nadejściem wiosny, świadom, że rodzice nie mają pomocy, uciekłem po raz drugi pomagać ojcu na gospodarce. Wkrótce pojawił się ukraiński komendant policji i mnie omamiał, zachęcając żebym się zgłosił do pracy, ponieważ jest amnestia i wszystko będzie mi darowane. Poszedłem więc do pracy. Współwięźniowie bardzo się dziwili. Zająłem swoje stare miejsce w baraku.

Rano jak zwykle był apel. I jak zwykle na apelu Wehrmeister odczytuje rozkaz dnia. Pojawia się także szef naszego obozu i wyczytuje: „Barczuk, Brzezicki i Bałuczyński - za uciekanie z przymusowej pracy - kara śmierci! Jest to bowiem sąd pokazowy, aby inni, widząc surową karę wymierzoną zbiegom - nie wazyli się uciekać.”

Jako dezertery, wyrokiem sądu polowego - zostaliśmy skazani na śmierć przez rozstrzelanie. Surowy wyrok miał być przestrożą dla innych.

Dano nam łopaty i prowadzono na miejsce egzekucji. Idąc spojrzałem w niebo.

Panie Jezu, jest piękny majowy dzień, ostatni w moim życiu... Jak bardzo chciałoby się jeszcze żyć, jeszcze jestem młody... - westchnąłem. Ale już za późno...

Wtedy usłyszałem wyraźne słowa: „Synu, ty będziesz żył!”

Nie wierzyłem, że Bóg tak szybko odpowiedział na moją modlitwę. Powtórnie usłyszałem ten sam głos „Synu ty będziesz żył.”

Moi koledzy tego nie slyszeli. Przyprawiono nas na miejsce za miastem i wskazano miejsce kopania grobów. Jeden po mojej prawej ręce, a drugi po lewej. Stałem po środku i myślałem: Nie będę kopać dla siebie grobu.

Skoro Bóg mi powiedział, że będę żył, to muszę zaufać Jego Słowu. Muszę słuchać Jego Głosu, a wtedy na pewno będę żył. Nie powinny mnie obchodzić niemieckie wyroki. Będę posłuszny Bogu a nie im. Posłuszeństwo Bogu oznacza życie, a posłuszeństwo Niemcom - śmierć. Rozejrzałem się i zobaczyłem, że koledzy wykopali doły po kolana i dalej też już nie kopią. Jeden z tych, którzy nas pilnowali, zapytał, czemu nie kopię? Odpowiedziałem, że ja dla siebie grobu kopać nie będę, chyba, że ktoś inny mi wykopie. Usiadłem koło swojej łopaty i patrzyłem w niebo. Pilnujący nie wiedzieli co mają zrobić. Nie byli w stanie zmusić mnie do kopania, a przecież, żaden z nich nie zrobiłby tego za mnie. Moi koledzy widząc, że ja nie kopię grobu, również odłożyli łopaty i usiedli. Około południa nadjechał samochód żółtego koloru z szefem obozu na czele. Kierownik obozu szybko kroczy do mnie, i woła: „Z pracy dobrze było uciekać, a czemu jeszcze mogiła nie wykopana!?”

Odpowiedziałem, że ja nie uciekałem do lasu do partyzantki, ale uciekłem do domu, ażeby pomóc rodzicom. Nasze pole nie zostało zaorane ani obsiane, gdyż moi rodzice są starzy i chorzy, i nie dają sobie rady. Niemcy zaś oczekują, że będziemy dostarczać należnego kontyngentu zboża i mięsa dla wojska. Moich trzech braci jest w niewoli Niemieckiej w Hildesheim i nie ma komu pracować. Komendant dał wiarę moim słowom i nawet zrobiło mu się mnie żal. Odpowiedział: „Czy wiesz, że mam prawo zmienić wyrok sądu wojennego? Więc zwalnię Cię od kary śmierci. Niech też twoi koledzy z tego skorzystają. Idźcie do pracy.”

Kiedy wracam myślą do tamtych dni, uzmysławiam sobie, że gdybyśmy wówczas wykopali sobie mogiły, nikt nie rozmawiałby z nami. Niechybnie bylibyśmy zastrzeleni i zakopani. Moim ratunkiem okazało się to, że odważyłem się być posłusznym Bogu i nie słuchać poleceń ludzi. W ten sposób zostałem ocalony przed śmiercią, a moje posłuszeństwo Bogu stało się także dobrodziejstwem dla innych. Chwała Ci Jezu! W tym cudownym ocaleniu zauważam zasadę natury ogólnej: jeśli zaufamy Bogu i będziemy czynić Jego wolę - nasze życie przestanie być

koszmarem podobnym do kopania własnego grobu i unikniemy kary, którą jest śmierć wieczna za zlekceważenie Boga.

„Albowiem tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne.”

Te słowa Jezusa Chrystusa zapisane w Ewangelii Św. Jana w rozdziale 3, werset 16 - uczą, że jedynym sposobem na uniknięcie wiecznego potępienia, na które zasługują wszyscy grzesznicy - jest szczere zwrócenie się do Niego.

Obudzony przez Boga

Przypominam sobie jeszcze jedno zdarzenie, gdy armia niemiecka po porażce zaczęła wycofywać się z terenów rosyjskich, a Armia Czerwona nacierała na Niemców od wschodu. Wtedy to Niemcy wycofując się z Rosji organizowali łapanki i wywozili ludzi do Niemiec. Bałem się więc pozostać w domu i ukrywałem się w lesie w stodolach Ukraińców, w stożkach słomy czy siana, na polu, na łąkach. Pojawiło się też nowe niebezpieczeństwo ze strony band leśnych które paliły polskie domy i mordowały całe rodziny. Miałem kolegę, Gienka, który był Ukraińcem, lecz zginął w Niemczech, prawdopodobnie od bomby podczas nalotów. Jego matka mnie lubiła, więc postanowiłem pójść do Jego rodziny, ażeby u nich przenocować. „Ciotka” - bo tak nazywałem matkę mego kolegi, przygotowała mi posłanie i poszedłem spać. Nagle, o północy, obudziłem się z silnym przekonaniem, że mam iść do swego domu. Mimo, że „ciotka” nalegała, ażebym pozostał i spał spokojnie do rana, ja jednak podziękowałem jej za nocleg, mówiąc, że muszę iść do domu. Za domami wzdłuż ulicy były ogrody, które ciągnęły się do rzeki a nasz dom stał prawie przy końcu wsi. Skradając się więc ścieżką koło rzeczki, obsadzoną krzakami wierzby, kierowałem się w stronę domu. Zbliżywszy się do naszego ogrodu, zobaczyłem migające wszędzie lampki i usłyszałem, jakiś głosy. Na kolanach bruzdą doczołgałem się jeszcze bliżej domu i teraz już wyraźnie słyszałem mowę w języku niemieckim. Niemcy szukali mnie, gdyż uznali mnie za partyzanta. Ktoś musiał donieść o tym do wojskowej komendy frontowej. Niemcy zrobili ścisłą rewizję, obszukali stodoły strychnie, każde miejsce, ale mnie nie znaleźli. Wycofałem się na kolanach bruzdą i w ten sposób uciekłem do lasu. Już nie wracałem do domu, zdając sobie sprawę z faktu, że gdybym wtedy nie poszedł do domu i nie przekonał się, że jestem poszukiwany, ale spał całą noc i wracał za dnia do domu - mógłbym wpaść w ręce Niemców i zostać postać potraktowany jak każdy schwyty partyzant.

Czyż nie cudowny jest nasz Bóg, który mnie obudził i przestrzegł? Niech Mu za to będzie chwała!

Praca w okopach

Gdy front się przybliżał, wojska niemieckie zakwaterowały po naszych domach. Cofając się 44 dywizja SS, wszędzie wojsko, więc nie było możliwości ochronić się od band, ani od Niemców. Kilka razy prawie wpadłem w ręce dowódcy bandy i Niemców, ale Pan dał mi mądrość jak wyjść i z tego.

Powiedziano mi że, przyjeżdża wojsko i szuka ludzi do pracy na froncie, więc dowiedziałem się, o której godzinie przyjedzie auto do naszej wsi oraz to, że mogę wyjść koło kapliczki i mnie zabrają.

Myślałem: To będzie najlepsze miejsce mego schronienia i może Ost Komando nie będzie wiedzieć, gdzie jestem, ponieważ przysyłali do rodziców księdza z polskiej parafii katolickiej, który powiedział, żebym się zgłosił na Ost Komando, bo jeżeli nie, to nasze budynki spalą, a ja i tak zostanę schwyty. Ojciec mi o tym powiedział, gdy wyszedł do mnie pod las. Nie zgodziłem się jednak na to, żeby się stawić u Niemców, wiedząc, że tam zginę i że ksiądz Wach ma kontakt z Niemcami.

Wsiadłem więc według umówionego czasu do auta i pojechałem na front. Zaraz mnie umundurowano. W ten czas wyglądałem biednie umorzony głodem. Skóra pozieleniała na mnie i byłem chudy. Zapytano mnie o to, co potrafię robić.

- "Znam się na krawiectwie" - odpowiadałem. - „No i trochę pracowałem przy warsztacie...”

Dziwnie się stało, że wśród tych, którzy chcieli mnie zgładzić, Pan dał mi także schronienie. Gdy przypominam sobie, kiedy zakradłem się do sąsiadki, ażeby się dowiedzieć, co słychać i czy Niemcy pilnują, kiedy przyjdę - akurat natrafiłem w ich mieszkaniu na mężczyznę. Nie wiem czy był z Komando, czy nie, ale sąsiadka zaczęła płakać i żalić się, że ja chodzę wolny a jej syn jest zabrany. Mężczyzna się do mnie przyczepił: „A ty co tu jeszcze robisz?” Odpowiedziałem, że pracuję na kolei. Wtedy On powiada: pokaż swój Ausweis! (dowód osobisty). Ja mu odpowiedziałem, że swój Ausweis mam w domu. Prędko pobiegłem, zamiast do chałupy - za chałupę i do lasu. Wojskowy nie zauważył mnie i myślał, że jestem w chałupie. Przybiegł po chwili i szukał mnie. Zaglądał ponoć także pod łóżko, ale nigdzie mnie już tam nie było. Powiedział nie mogąc powstrzymać nerwów: „Partyzant wyrwał się z moich rąk!”

Pewien mój przyjaciel ze szkoły pełnił służbę jako dróżnik w budce przepuszczając pociągi. Poszedłem więc popatrzeć, co jechało w tych pociągach. Był wielki grzmot gdy wagony podjeżdżały do góry i potem zjeżdżały w dół z wielkim hukiem. Okazało się, że wieziono w nich bydło do Niemiec zabrane z Rosji. Był wieczór. Nagle przychodzi do mnie wysoki mężczyzna ubrany w mundur SS-mana i zwraca się groźnie do mnie: „Co ty za jeden? Polak czy Ukrainiec?”

- Odpowiedziałem, że Ukrainiec. - A jak Twoje nazwisko? - Odpowiedziałem po rosyjsku, żeby się nie domyślał ponieważ polskie nazwiska kończą się na „-ski”. Wtedy zapytał: - „Skąd jesteś?” Odrzekłem:

- „Z Kniażego”. On na to: - „I ja idę do Kniażego, do Soroki i tam będziemy mieli narady. Dziś wyrzniemy wszystkich Polaków.” A ja z krzykiem do Niego: „Czemu tak długo jeszcze czekacie?” Szliśmy tych pięć kilometrów do Kniażego ze Skwarzawy i bałem się, żeby kto nie wyszedł i nie powiedział: „To Polak!” On miał pistolet przy boku i myślałem, że jeśli ktoś wyjdzie, to ten człowiek mnie zastrzeli.

Szliśmy, a ja się modliłem. Przyszliśmy koło mego domu. On powiedział: „Sława Ukrainie!”, a ja odpowiedziałem: „Gierojam Sława!”, bo tak witano się i żegnano. Wtedy widziałem, jak Pan mnie zachował od śmierci.

Na froncie Niemcy dobrze mnie ubrali. Miałem po dwie pary odzieży i obuwia. Dano mi też dużo konserw i napojów - tak zwany „ferflegung”. Dostawałem go raz w tygodniu, oprócz jedzenia z kuchni. Tam prawie odżyłem.

Pewnego dnia trzeba było kopać okopy. Byli tam Rosjanie, Ukraińcy i Polacy. Ja zacząłem im świadczyć: „Gdy będziecie wierzyć, to żadna bomba ani kula nie spadnie na nas.” Ale zobaczył to oficer. Przyszedł do mnie i powiada "Czy ty jakiś faraż (ksiądz)? Kiwnąłem głową, ale nie rozumiałem o co mu chodzi, gdy mówił po niemiecku. Następnie przychodzi tłumacz, podoficer, i powiada: „Ty bierz się do roboty. Co ty sobie myślisz? - To wojna! Nie czytaj tutaj Ewangelii. Oficer rozkazał, żebyś ją zakopał do ziemi.” Ale ja dalej czytałem i rozmawiałem z ludźmi o Bogu. Za nieposłuszeństwo przyszedł znowu tłumacz i powiada: „Teraz oficer się gniewa na Ciebie. Przygotuj się, bo jutro raniutko pojedziesz za karę na pierwszą linię frontu.” Niemiecka artyleria, gdzie pracowałem miała swoje wozy bojowe wkopane w ziemi, wystawały jej tylko lufy skierowane na Rosjan. Tak samo artyleria i czołgi Rosjan były skierowane na Niemców. Las był wyrąbany kulami, było czyste pole, budynki paliły się, ażeby było widać czy nieprzyjaciel nie szykuje się do kolejnego ataku. Wojsko z jednej i drugiej strony w jamach ciągle gotowe do ataku. Linia frontu była od ognia tak dobrze oświetlona, że można igłę znaleźć. Na linii frontu nie wolno nikomu się pokazywać, bo z miejsca mogą zastrzelić. Jeśli dostałem rozkaz wyjazdu na tę linię - to nie ma mowy, żeby nie jechać. Tłumacz mi mówił: „To ci oficer przygotował.” Rozumiałem, że w ten sposób przygotował dla mnie wyrok śmierci.

Ale stało się inaczej. Raniutko nadszedł telegram, że nie mam jechać na linię frontu. Nadał go major Uchlig - komandor Frontu - a za to ma tam w jakimś celu pojechać mój oficer. I nie minęła

potem godzina, jak dostaliśmy telegram, że nasz oficer został już zabity. Przychodzi tłumacz Michalski Józef i powiada: - „Już oficer zabity.” Naprawdę było mi go żal. Myślałem: może ma dzieci, żonę, ładny wysoki oficer. Ale usłyszałem wewnętrzny głos: „On kazał zakopać Ewangelię i teraz sam został zakopany”.

Cały czas Bóg mi błogosławił, a ja trzymałem się obietnicy Słowa Bożego z Psalmu 34. Bóg błogosławił przy mnie także wszystkim chłopcom. Chciałem żyć.

Po kilkudniowym natarciu wojsk radzieckich z wielką przewagą samolotów angielskich - nasze działa już były silnie rozgrzane, tak że gdy przyłożyć było kij do lufy to się zapalał od gorąca. Zaczęliśmy się cofać na południe, przez Karpaty, ponieważ była tylko jedna droga do wycofywania się z Czech na Węgry a z Węgier przyjechaliśmy do Jasła, ponieważ Rosjanie zaprzestali ofensywy. Zakwaterowaliśmy się niedaleko Tarnowa, we wsi Wentowice, gdzie był odpoczynek przez około dwa miesiące. Następnie Armia Radziecka znowu rozpoczęła ofensywę. Cofaliśmy się na zachód, do Nysy, potem do Prudnika, Ząbkowic, Dzierżoniowa, licząc, że dotrzemy do Drezna. Ciągnęliśmy przez Budziszyn i Gorlice, gdzie nam drogę odwrotu odcięli Rosjanie. Pozostawiliśmy w okrążeniu. Pierścień był zamknięty.

Wtedy nie było innej rady i Niemcy zdobyli się na uderzenie, rozbijając pierścień okrążenia. Widzieliśmy wielu zabitych żołnierzy radzieckich i polskich a także wziętych do niewoli. Udaliśmy się zbliżając do Kemnic, gdzie już czekały na nas wojska amerykańskie.

Niespodziewana chwila.

Było to siedem kilometrów od wojsk amerykańskich. Zrobiliśmy przygotowanie do poddania się Amerykanom. Mieliśmy odpoczynek. Dostaliśmy wiadomość, że za pięć minut a może nawet szybciej, będą tu Rosjanie. Nie minęła krótka chwila, jak zobaczyłem, że zza pagórka biegną do mnie rosyjscy żołnierze i krzyczą: „Ręce do góry!”

Podniosłem ręce i widzę, że będzie mnie rozstrzeliwał, a drugi mówi do niego:

- „Zaczekaj, niech najpierw zrzuci płaszcz, marynarkę i koszulę, bo szkoda dziurawić.” Wtedy przyłożył mi rękę w okolicy serca. Patrzyłem mu w oczy i się nie bałem ponieważ w czasie wojny nikogo nie zabiłem. Byłem spokojny. Powiada: - „Jego nie zastrzelimy, on nikogo nie zabił, bo jego serce spokojne, on się śmieje”. I zaraz mnie zapytał: - „Ilu zabiłeś naszych żołnierzy?” Odpowiedziałem, że nie mam broni i jestem krawcem. Zapytali mnie też o to, czy może jestem Ukraińcem? Odrzekłem, że jestem Polakiem spod Lwowa. Wtedy oni podali mi rękę, ale jeszcze zapytali: - „Gdzie tu jest gorzelnia?”

I zaraz potem poszli do gorzelni.

Nie wiedziałem o tym, że w Moskwa wydała rozkaz swej armii, aby żołnierzy pochodzących z kresów wschodnich natychmiast rozstrzeliwać, gdyż to są zdrajcy.

Gdy opuszczaliśmy nasz rodzinny dom, matka pocałowała mnie w głowę i pamiętając pierwszą wojnę światową, powiedziała, że wojska niemieckie czy ruskie nie brały do niewoli cywilów. Poradziła mi więc zabrać ze sobą w zawiniątku - cywilne ubranie. Miałem uszytą rubaszkę z poszwy pierzyny i spodnie pofarbowaliśmy na granatowo. Brat uszył mi z tego ubranie, bo w sklepach nie można było nic dostać. Tę małą paczuszkę miałem mieć zawsze przy boku aby w razie potrzeby - móc zrzucić niemiecki mundur i się przebrać. Tak chciała moja mama... Ale teraz zwyczaj z I Wojny Światowej już nie obowiązywały i ze mną było zupełnie inaczej. Nie było nawet czasu na to, żeby się przebierać. Wtedy w swoich myślach chciałem powiedzieć mamie: „Mamo, ty się pomyliłaś. Nie było kiedy się ubrać”. Ale Bóg się nie pomylił, ponieważ byłem wierny słowom z Psalmu 34 i to Ty, Boże, mnie zachowałeś.

Gorzki koniec wojny

Gdy skończyła się wojna, ucichły działa. Nie było słyhać warkotu samolotów. Nastal pokój.

Przypominałem sobie dni przedwojenne. Zastanawiałem się, co ze sobą począć? Czy przejść na stronę amerykańską? Lecz gdy pomyślałem o swojej miejscowości, gdzie wyrosłem, zatęskniłem. Pragnąłem zobaczyć znajomych i powiedzieć, że wróciłem szczęśliwie, że nie jestem inwalidą. 1 gdy pomyślałem też o mojej chorej mamie - podjąłem decyzję, by wrócić do domu. Wsiedliśmy z kolegą, z którym razem byliśmy w wojsku, na parowóz i pojechaliśmy. W nocy przyszli rosyjscy żołnierze, którzy powyrzucali nasze bagaże z parowozu i zostaliśmy prawie bez niczego. Tak rabowali tych, którzy jechali z Niemiec na kresy wschodnie.

Przedostałem się w końcu do Krakowa i dowiedziałem się, że granica została przesunięta i nasz dom leży teraz w Związku Radzieckim. Napotkałem znajomych, którzy mi przekazali smutną wiadomość, iż ojca zabito w czasie bitwy 44 dywizji SS z Ruskimi na naszym podwórku. Niedługo potem zmarła też moja matka. Nie tak wyobrażałem sobie koniec wojny. Pragnąłem opowiedzieć mamie, którą bardzo kochałem, jak Bóg czuwał nade mną i o wszystkim co mnie spotkało, a tymczasem okazało się, że moich rodziców już nigdy na tej ziemi nie zobaczę.

Byłem jeszcze młody. Mając 23 lata pozostałem praktycznie sam.

W Krakowie zatrzymałem się u brata w Chrystusie - Mieczysława Suskiego seniora. Pomimo głodu, ponieważ wszystko było wtedy na kartki - był to dla nas czas błogosławiony. Każdego wieczoru rozważaliśmy Słowo Boże i modliliśmy się. Modliły się z nami także drobne dzieci Brata Suskiego. Takie odnowienie potrzebne mi było po paroletniej wojennej zawierusze i braku kontaktu z wierzącymi ludźmi. Na pierwsze nabożeństwo, poszliśmy do metodystów. Była niedziela. Pastorem był brat dr Benedyktowicz. Tam doznałem szczególnego dotyku Bożego. Pastor usługiwał Słowem Bożym. Było tam także święto dziecka. Dzieci mówiły wiersze. Może to było święto matki... Nie pamiętam teraz dokładnie. Ale w tej milej atmosferze śpiewaliśmy pieśni, mówiliśmy wiersze oraz czytaliśmy Słowo Boże. Moje serce napelniono się wdzięcznością. Z wdzięczności do Stwórcy, zaczęły mi płynąć z oczu łzy. Zalewały moją marynarkę tak, że nie zdążyłem ich wycierać. Zabrakło chustek. Chwała Ci Boże!

Pragnąłem szukać ciepłego kontaktu z chrześcijanami, więc pojechałem w odwiedzinach do Chodzieży, do pastora metodystycznego, który mieszkał razem z jego teściową. Akurat zastałem remont mieszkania. Z powodu braku miejsca przygotował mi posłanie na cementowej podłodze. Byłem dość zgrzany ponieważ ta Siostra miała duży bagaż, który musiałem jej dźwigać. Później zmarłem, ponieważ od podłogi ciągnęło zimno.

Po powrocie odczułem silny ból głowy i dużą gorączkę. Przyjechało pogotowie. Lekarz nie wiedział, gdzie mnie położyć, ponieważ nigdzie nie było miejsca w szpitalu. Okazało się, że jest jeszcze miejsce w szpitalu Świętego Łazarza, w baraku zakaźnym, gdzie kładziono chorych na tyfus brzuszny i plamisty. Z powodu braku miejsc gdzie indziej - położyli mnie w tym baraku. Lekarz powiedział, że nie mam rodziny, która może wyrazić zgodę na hospitalizację, więc położą mnie tam bez niczyjej zgody.

Wkrótce zachorowałem na ropne zapalenie płuc. Lekarz prowadzący chciał usunąć z mojego organizmu ropę. Musiał przebić się do płuc, bo ropa była dość gęsta. Lekarz nie miał siły przebić się między żebrami, ponieważ sam był chory na gruźlicę i poważnie osłabiony. Pomagały mu pielęgniarki mocno mnie trzymając. To był okropny ból. Powiedziałem Bogu, że już nie wytrzymam. Ale Pan Bóg po prostu

mnie znieczulił! Dwa razy w ciągu dnia przekluwano się między żebrami i ja w ogóle nie odczuwałem bólu. Sam lekarz był zdziwiony, że mnie nie boli. Gdy wyzdrowiałem nic mi już nie dolegało, za wyjątkiem uporczywego głodu. Ze względu na to, że nie miałem dokąd wracać, a była zima, zostawiono mnie w szpitalu.

Gdy jakiś człowiek chory na tyfus nie mógł już nawet jeść, to ja otrzymywałem jego porcje chleba. Wkrótce i ja poczułem się źle. Znowu też powróciła gorączka. Zaraziłem się od innych. Wtedy bardzo modliłem się do Boga. Lekarz pytał chorych, czy im nie przeszkadza, że się tak na głos modlą.

Chorzy odpowiedzieli, że chcą słuchać tych modlitw. Gdy już się nieco lepiej czułem -

wyznaczono mi pokój w baraku szpitalnym, gdzie wychodziłem na modlitwy. Gorączka była duża, a ja bez przestanku się modliłem

Rano komisja lekarska miała swój obchód. Sprawdzano stan zdrowia wszystkich pacjentów. Pielęgniarka podnosiła koc i lekarz ołówkiem pociągał chorych po piętach, badając czy mają jeszcze czucie. Kiedy zauważano brak reakcji - zdejmowano kartę informacyjną z łóżka. Czasem pobierano krew chorego i dawano białym myszkom, albo śwince morskiej, aby się upewnić co do choroby.

Leżałem między dwoma chorymi na tyfus, ponieważ był przemarsz Żydów z Rosji i Ukrainy do Wiednia. Punkt kontrolny był w Krakowie. Jeśli ktoś był chory, zatrzymywano go i kierowano do szpitala w Krakowie. Nie wolno było wypuszczać chorych do Wiednia.

Miałem silny ból głowy, a także dużo gorączkę. Ciągłe traciłem siły, choroba odbierała mi czucie i posuwała się dalej. Bezwład doszedł do klatki piersiowej. Podczas porannego obchodu lekarz dyskretnie zdjął z mego łóżka kartę informacyjną uznając ją za niepotrzebną. Widząc to, zacząłem się przygotowywać na śmierć. Bardzo się modliłem. - „Panie Jezu, chciałbym być u Ciebie. Przebacz mi wszystkie moje grzechy, może zapomniałem o jakimś grzechu...” Przymyślałem sobie, jak byłem jeszcze w domu, w Kniażem. Moja sąsiadka miała duży sad i nieraz zrywałem w nim jabłka. Powiedziałem: - „Panie, już nie mam jak przeprosić sąsiadki, ale gdybym żył, to bym pojechał i przeprosił ją.” Pan dał mi możliwość pojechać do Kniażego i powiedziałem: „Ciotka”, ja chodziłem rwać jabłka, do Waszego sadu. Chcę cię za to przeprosić. Ona się zaśmiała i powiada: - „Józek, po co to mówisz?”

Pochwycenie do nieba

Zanim opiszę dalszą część mojej choroby i śmierć kliniczną, chcę podkreślić, że w owym czasie czytałem dużo Słowa Bożego zawartego w Biblii i dużo się modliłem. Chciałem lepiej zbadać, co według Słowa Bożego dzieje się po śmierci z ludźmi wierzącymi? Zostałem wręcz owładnięty duchem modlitwy. Trwając w takim rozmodleniu, gdy bezwład ciała sięgał mi do szyi, poczułem nagle, że się unoszę. Po chwili zobaczyłem jakby błękitny sufit i przebiłem go głową, ale się nie uderzyłem. Zauważyłem, że znalazłem się poza własnym ciałem, które leżało martwe na szpitalnym łożu.

Znalazłem się jakby po drugiej stronie nieba, gdzie stanąłem na czymś w rodzaju podłogi. Ogarnęła mnie dziwna, wspaniała atmosfera, którą mogę określić jako atmosferę nieba. Nie mogę określić i wyrazić słowami tak wspaniałego odczucia i szczęścia. Kiedy obejrzałem się na prawo - zobaczyłem Osobę Jezusa w stojącą w światłości i chwale! Zacząłem dziękować Jezusowi, że mnie przyjął, że tutaj jest tak dobrze. Jaki ja jestem szczęśliwy, że już tutaj pozostanę w tej radości! Bardzo dziękowałem Mu, że mnie przyjął do nieba. Jezus stał i słuchał. Nie wiem, ile czasu tak upłynęło. Mogę tylko powiedzieć, że w niebie jest bardzo dobrze i warto tam być. Przeżyłem w moim życiu wiele błogosławionych chwil, doznawałem wielkiej miłości Bożej w okresie nawrócenia i otrzymania daru zbawienia. Doświadczyłem Jego opieki w życiu, napelnienia Duchem Świętym, ale to wszystko nie dorównuje, pięknu i wspaniałości doznań, jakich doświadczyłem, gdy byłem w duchu zabrany do nieba.

Myślałem, że już tam zostanę, ale po jakimś czasie zauważyłem, że odlatuję. Po chwili znajdowałem się już znowu w Krakowie i leżałem na swoim szpitalnym łóżku. Przyglądałem się swemu ciału, które było zimne i nieprzyjemne. Gdy się obejrzałem, przy łóżku, obok mnie stała pielęgniarka i zapytała co ze mną było. Nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć. Pielęgniarka powiedziała, że to była śmierć kliniczna. Nie rozumiałem wtedy tego określenia. Wiem, że ani na chwilę nie straciłem przytomności, ani świadomości. Dzięki Ci, Jezu, za tyle łask, za to, że skosztowałem wspaniałości pozagrobowych.

Było jeszcze wiele cudów w moim życiu. Ten nie jest ostatni. Gdy piszę te słowa, to wydaje mi się, że było to wczoraj. Tamtą chwilę przeżyta z Bogiem odczuwam całą duszą i ciałem.



Józef Baluczyński

Myślę więc o tym, jak wielki, cudowny i potężny jest nasz Ojciec Niebieski. Rozmyślam, ile ma w sobie miłości objawionej przez naszego Pana i Zbawiciela, Jezusa Chrystusa. Przecież On sam jest Miłością. Ile ma cierpliwości w stosunku do mnie, oraz ile łaski dla nas ludzi. Jego atrybuty można wyliczać bez końca. Ze względu na ubogość języka trudno byłoby znaleźć wszystkie słowa mające określić jego wspaniałość i potęgę, ażeby móc Go dostatecznie uwielbić! Nawet własnego Syna, którego miłował, wydał na śmierć dla naszego zbawienia. A Jezus? To przecież On jest wykonawcą Ojcowskiego wielkiego planu zbawienia. Dziękujemy Ci Jezu! Chwała Ci! Bądź nadal z nami i kieruj naszym życiem! Alleluja!!!

Lata powojenne

Z Krakowa udałem się do Nysy. Miasto nie było jeszcze uporządkowane po zawierusze wojennej. Na ulicach było pełno spalonych samochodów i czołgów. Nie wiedząc, gdzie się mam zatrzymać, zacząłem poszukiwać chrześcijan wiary ewangelicznej. Pewni ludzie wskazali mi kierunek do wsi Złotopole, gdzie już byli wierzący tego wyznania. Idąc do wsi ścieżką przez las, zobaczyłem dwóch żołnierzy zdemobilizowanych, idących w tym samym kierunku. Szybko ich dogoniłem, mówiąc: - „Chwała Panu! Chwała Bogu!” Zaskoczyło ich takie pozdrowienie, więc zapytali mnie: - „Skąd wiesz, że jesteśmy wierzącymi?” Opowiedziałem im skąd przebywam i oznajmiłem, że poszukuję ludzi wierzących. Wtedy oni zabrali mnie ze sobą, do Złotopola. Tak wyglądało moje pierwsze spotkanie z wierzącymi z Kościoła Zielonoświątkowego. Nazwa tego kościoła brzmiała wtedy następująco: Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej a napotkanymi żołnierzami byli bracia Franciszek i Leon Dąbrowscy, którzy szli z targu, na którym sprzedawali rozsady kapusty. W kilku miejscowościach odnaleźliśmy też innych chrześcijan i zaczęliśmy się nawzajem odwiedzać. Byli to: brat Korczowy z Gieracie, brat Milczanowski z Biskupowa, brat Malisz, który mieszkał we Wierzbii i brat Barański z Krzeszkowic. Spotykaliśmy się i organizowaliśmy nabożeństwa niedzielne. Dostawaliśmy się do tych miejsc jak kto mógł - rowerami, piechotą lub wozami konnymi. Miłość do Jezusa była gorąca, występowała tęsknota za społecznością, mieliśmy także wielką miłość do bliźnich. Opuszczenie jakiegoś nabożeństwa uważaliśmy za wielką stratę duchową. Nabożeństwa odbywały się w wyżej wymienionych miejscowościach a także w innych. Nasze modlitwy były gorące, płynące ze serca bijącego dla Pana Jezusa Chrystusa. Wierzący chodzili w mocy Ducha Świętego. Praca Pańska nabierała rozmachu, zbierając żniwo w postaci zbawionych dusz.

W 1947 roku przystąpiłem do chrztu wiary. Wtedy chrzest przyjmowało wiele osób. Był piękny, pogodny dzień nad rzeką Nysą. Zebrało się wielu wierzących. Przybyli także przedstawiciele miasta Nysy oraz Starosta, ażeby zobaczyć, ponieważ był to pierwszy powojenny chrzest wiary w Nysie. Przy chrzcie usługiwał brat Czerski, biskup Kościoła i brat Czepieluk - jego zastępca. Od tej pory, gdy złożyłem przysięgę Panu Jezusowi i ochrzciłem się, starałem się jeszcze więcej pracować dla Boga, coraz bardziej też wzrastałem duchowo. Jeździłem po wsiach swoim powozem, którym był mój rower. Głosząc Słowo Boże przyjeżdżałem do wioski, zatrzymywałem się w jednym z gościnnych domów, które zawsze były dla mnie otwarte. Pierwszą rzeczą, którą robiłem, nie było witanie czy rozmowa, ale klękałem na kolana, wznosiłem ręce do góry i gorąco się modliłem. Słyszac modlitwę wierzący się zbiegali, ażeby razem ze mną zanosić modły do Boga. Dopiero po uwielbieniu Boga przebrzmiewały głosy wołające do Niego. Potem witaliśmy się ze sobą. Siostry z radością gościły mnie wszystkim, co miały w domu - chlebem, ciastem, owocami. Panowała atmosfera jedności, miłości i pokoju.

Nie zważaliśmy na pogodę, czy to ulewa, czy drobny deszcz, czy też upał, mróz czy zawieja - dla

nas najważniejsze było nabożeństwo, modlitwa i Słowo Boże. Wkrótce ukończyłem kurs Szkoły Biblijnej Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego w Warszawie. Wówczas należało do niego pięć ugrupowań. Prezesem był wtedy brat Stanisław Krakiewicz. Kościół mianował mnie na stanowisko Ewangelisty Województwa Śląsko-Dąbrowskiego. Pomimo intensywnej pracy na niwie Pańskiej były momenty, w których czułem się samotny. Koledzy, z którymi pracowałem na niwie Pańskiej, pozakładali swoje rodziny. Ja zaś nie miałem nikogo bliskiego. Pewnego razu, jadąc rowerem do wsi Dytmarów, westchnąłem do Boga użalając się nad swoją samotnością. I w tym samym momencie Bóg przyszedł mi z pociechą. Usłyszałem śpiew chóru niebiańskiego, uwielbiającego Boga. Zeskoczyłem z roweru, położyłem go na rowie i usiadłem wśród łąk zbóż, wsłuchując się w ten piękny śpiew. Łzy radości i wdzięczności zalaly mi twarz i zrozumiałem, że wcale nie jestem sam. Ludzie, jadąc wozami, przypatrywali się ze zdziwieniem, dlaczego patrzę w niebo i płaczę. Powiedziałem sobie w sercu, że już nie jestem sam, i że nadejdzie dzień, gdy Bóg da mi ziemską rodzinę. Tak też się stało.

Podczas pracy ewangelizacyjnej poznałem Eugenię, pochodzącą ze wsi Małżowice, w której w mieszkaniu odbywały się modlitwy. Cała jej rodzina przyjęła Jezusa. Wkrótce zawarliśmy związek małżeński i już miałem swoją partnerkę życiową. Ślubu udzielił nam pastor zboru w Legnicy, brat Kazimierz Czepieluk. Był to rok 1950. Po wojnie pracowałem w Szpitalu Miejskim w Nysie jako gospodarczy. W tym szpitalu usługiwały niemieckie zakonnice, które bardzo mnie polubiły, dlatego, że zawsze z nimi rozmawiałem, pytając czy dana siostra jest zbawiona. Widziały we mnie innego człowieka, takiego, który nie pali i nie pije alkoholu a rozmawia i świadczy o Bogu. Widziały też, jak zachowują się inni pracownicy, których one nazywały Ruskami.

Następną pracę objąłem w Powszechnej Spółdzielni Spożywców jako sprzedawca, a później kierownik sklepu. Miałem sklep na hali, gdzie obecnie produkuje się samochody marki „Nysa”. Pracowałem do godziny 15.00, a sklepy w mieście były otwarte do 18.00. Wychodząc z pracy po drodze wstępowałem do sklepu znajomych, którzy prosili mnie o to, abym sprzedawał w ich sklepie, a sami w tym czasie wychodzili na zakupy.

Dyrektor szedł i zauważył, że sprzedaje sam i kasuje pieniądze na co zdziwił się i na zebraniu załogi pyta: - „Jak to jest że dopuszczacie cudzą osobę do kasy.” Odpowiadają sprzedawcy: - „To taki człowiek jest, że pieniędzy nie skradnie, bo pochodzi z takiego a takiego Kościoła. Także pan Cholewczuk wstaje i powiada: „Ja Bałuczyńskiemu dam sklep bez remanentu i przyjmę go do pracy w tym sklepie.” Było to dobre świadectwo dla Kościoła, że są jeszcze tacy ludzie.

Pewnego razu jadę z wioski, gdzie byłem w odwiedzinach u wierzących i akurat nadjechał nasz nowy dyrektor Swierszczko, były oficer dywizji kościuszkowskiej. On jechał namawiać ludzi do kolchozu i poznał mnie. Na zebraniu partyjnym mówił: „Tu pracuje wróg i wyście mi tego nie zgłosili!” Pomimo tego, że mnie partyjni bronili przysłano mi zwolnienie z pracy. Powiedział: „Ja wroga trzymać nie będę.” Zaledwie trzymiesięczne wypowiedzenie mi się skończyło - a jego już aresztowano. Brat Kraiński, jego przyjaciel z wojny, z którym był w jednej kompani, poszedł i zobaczył, że jego żona nie ma czym napalić w piecu, brakuje jej węgla, nie ma kartofli. Brat Kraiński zaopatrzył żonę byłego dyrektora w drewno na opał i kartofle. Gdy dyrektor wyszedł z więzienia, powiada: - „Żeby mi ja był wiedział, że wierzący to tacy dobrzy ludzie, byłbym wiele pomógł.” Ale wtedy był to czas prześladowania Kościoła.

W roku 1952 przeprowadziłem się do Wrocławia, do matki mojej żony, gdzie zostałem przełożonym zboru (pastorem). Wtedy rozpocząłem pracę w Centrali Stali Specjalnych przy ul. Grabiszyńskiej, jako referent handlowy.

W Centrali był sekretarzem PPR niejaki pan Bis, rodem z Wołynia. Ten mnie bardzo prześladował. A gdy się zbliżył pierwszy maja, nakazał mi, żebym się nie spóźnił i zaraz po przyjsciu podpisał listę obecności.

Nie przyjść na pochod to byłby duży minus dla Kościoła, ponieważ wszystko traktowano politycznie. Rano pierwszego maja wnosimy flagi i szykujemy się do pochodu. Bis wręcza mi duży obraz jakiegoś komunisty włoskiego. Miałem iść na przedzie pochodu i nieść obraz z podobizną Tchoreza. Przeżywam, ponieważ będąc pastorem nie mogłem tego zrobić.

Pomyślałem, że wierzący mnie zobaczą. Jak ja będę wyglądał? Bóg zrozumie, ale ludzie myślą inaczej. Idę na przedzie i patrzę: idzie robotnik z naszej Centrali. Kiwnąłem do niego i proszę go: - „Weź Tchoreza, a ja Ci to później wynagrodzę”. Wtedy uciekłem do tyłu i schowałem się pośród tłumu. Ten robotnik ucieszył się, że mógł dostać ode mnie parę złotych.

Niedługo otrzymałem wypowiedzenie z pracy, gdy trzymiesięczny okres wypowiedzenia się skończył. Sekretarza Bisa aresztowano. Jaki Bóg jest cudowny! Po takim zwolnieniu, w którym było napisane, że jestem „sekciarzem czynnie zaangażowanym” - nie można było otrzymać pracy.

A jak wyglądała praca w Kościele? Gdy zamieszkałem we Wrocławiu, zostałem wybrany na pastora. To był rok 1952. Musiałem więc pozostawić pracę typowego ewangelisty. Poprzedni Pastor Zboru Zielonoświątkowego, brat Roman Czarnecki, gdy wyszedł z więzienia nie chciał już pełnić obowiązków Pastora, a także nie dał swej sali na nabożeństwa.

Zacząłem jeździć wieczorami po pracy z bratem Aleksandrem Wysockim organizując nabożeństwa w różnych dzielnicach miasta. W Muchoborze oraz w Zernikach. Następnie wynajęliśmy kościół od braci metodystów, który był jeszcze od wojny nie całkiem oczyszczony z gruzu i śmieci. Miałem tam schowaną łopatę, i gdy wychodząc na miasto w różnych sprawach, brałem moją łopatę i odgruzowywałem kaplicę. Pan nam błogosławił. Powstał zespół muzyczny, który prowadził brat Sienciakowski, pastor z Oleśnicy. Odbywały się okęgowe zjazdy młodzieżowe. Bóg przydawał nowe dusze do Kościoła.

W tamtym czasie Kościół był prześladowany przez władzę komunistyczną, a także przez poszczególnych ludzi, którzy byli przeciwni Kościołowi. W nabożeństwach naszych służbowo uczestniczył milicjant z Urzędu Bezpieczeństwa, który przysłuchiwał się naszym kazaniom. Nawet do mego mieszkania przysłano kobietę z Milicji, która podszyła się pod osobę wierzącą i udawała, że przyjęła chrzest wodny. Zajmowała się naszymi dziećmi oraz pracą w ogródku, w rzeczywistości podpatrywała nas, ażeby później donieść do Urzędu Bezpieczeństwa. Wypytywała nas o poglądy, patrzyła czy mamy radio i czy słuchamy audycji nadawanych przez Radio „Wolna Europa”.

Przekonała się, że jesteśmy ludźmi uczciwymi i nie zajmujemy się polityką, o czym poinformowała Urząd Bezpieczeństwa. Zdarzały się wypadki, gdy wierni zgromadzili się na nabożeństwach, wówczas ksiądz katolicki namawiał swoich parafian do buntu, twierdząc, że należy się przeciwstawić niekatolickim wierzącym. Wybierali sobie najodważniejszych gorliwców dla obrony „swojej” wiary. Ci zaś napadli na dom, niszczyli literaturę i bili wierzących na nabożeństwie. Jeden z naszych braci uciekł oknem, mając na sobie porwaną marynarkę, ponieważ chcieli go zatrzymać.

W innej wiosce było nabożeństwo połączone z Wieczerzą Pańską i po nabożeństwie bracia i siostry wracali do domów. Za wioską czekało na nich trzech potężnych mężczyzn z pałkami. Obrzucili wierzących epitetami i znieważyli ich mówiąc między innymi: - „Wy chodziliście łamać chleb, teraz my wam połamiemy kości.” Wywiązała się walka. Milicja wniosła więc do sądu skargę przeciw wierzącym. Do sprawy jednak nie doszło, gdyż jeden z nich nie dożył. Sam Bóg zainteresował się i zainteresował, rozprawił się z przeciwnikami. Jednemu z przeciwników spadła kosa na piętę dotkliwie go raniąc, co spowodowało zakażenie, a w konsekwencji śmierć. Pozostali napastnicy również nagle odeszli z tego świata. Te wydarzenia spowodowały, że coraz więcej ludzi przyjmowało Ewangelię, ponieważ widzieli, iż żadne przeciwności nie zatrzymały głoszenia Słowa Bożego.

Ja również utwierdzałem się w wierze, rozumiałem, że wszystko jest w doskonałych Bożych rękach i o cokolwiek prosiłem, otrzymywałem. Czyż nie jest to wspianale i pokrzepiające, że mamy tak wspianalego Boga?

W owym czasie nie byłem jeszcze ochrzczony w Duchu Świętym. Bracia zwracali mi uwagę na ważność tego duchowego aktu, ja jednak nie miałem dostatecznego pragnienia, by prosić Jezusa o taki chrzest. Przyczyną tego było być może to, że patrzyłem na niektórych braci, ochrzczonych w Duchu Świętym, którzy wygodnie siedzieli w swoich domach, nic nie robiąc na niwie Pańskiej.

Nie chciałem być do nich podobny. Ale bracia mi przypominali pytając się od czasu do czasu: „Józefie, kiedy będziesz ochrzczony Duchem Świętym?” Mówili, że jest to zapieczętowanie przez Boga, świadczące o tym, że należymy do Niego, a przecież Jezus wkrótce przyjdzie po swój Kościół i zabierze nas do siebie. Czy ja będę razem z innymi zabrany? Sama myśl o tym, że mogę pozostać na ziemi, podczas gdy inni będą zabrani na weselną ucztę Baranka, zaczęła mnie napawać strachem. Wtedy postanowiłem prosić Jezusa o chrzest w Duchu Świętym.

Chrzest w Duchu Świętym

Przybyliśmy z bratem Franciszkiem Jaworskim jako ewangelisci odwiedzić wierzących w Trzcińsku i w Janowicach Wielkich. Tam zamieszkali repatrianci ze wschodu. Odbywało się to u Brata Koziury, pastora tamtego zboru, ponieważ gościnność brata Koziury przyciągała chrześcijan. Akurat wtedy byli u niego bracia z Rady Kościoła: brat biskup Józef Czernski, Sekretarz brat Januszewicz, brat Osadca i inni. Po nabożeństwie i kolacji wyszliśmy z bratem Jaworskim na podwórko, niedaleko była piękna łąka, przez którą płynęła rzeka. Była bardzo pogodna i ciepła noc. W tym czasie przybiega brat Melcer i powiada, że u rodziny Rolińskich, w mieszkaniu odbywają się modlitwy i Jezus chrzci Duchem Świętym.

Pobiegłem z bratem Franciszkiem pod wskazany adres. Drzwi wyjściowe były jednak zamknięte od wewnątrz i podparte kijem. Takie zabezpieczenie było niezbędne, ze względu na to, że nie chciano, by ludzie przeszkadzali w modlitwie. Okna również były szczelnie zamknięte. Na zewnątrz było słychać śpiewy i modlitwy zanoszone do Pana, naszego Stwórcy. Pukałem więc do drzwi, pukalem do okna i nie słyszeli naszego pukania. Zacząłem coraz głośniejsze dobijać się do mieszkania, ale bezskutecznie. Zdesperowany i przestraszony, że Jezus może nadejść lada chwila, a ja nie jestem gotowy na Jego przyjście - ponieważ nie byłem jeszcze ochrzczony w Duchu Świętym - zacząłem z całej siły dobijać się do drzwi, aż się same otworzyły, i kij, którym były one podparte, spadł. Wtedy przyłączyliśmy się do uwielbiania Pana.

Okolo północy postanowiłem sobie, że będę klęczał całą dobę, aż mnie Jezus ochrzci. Bóg w swojej dobroci przygotował mi jednak niespodziankę. Już po modlitwie, podnosząc oczy do góry, zobaczyłem wielki snop światła spadającego na mnie. A wewnątrz tego snopa zobaczyłem stojącego Pana Jezusa Chrystusa. Podskoczyłem szybko do góry, chcąc uchwycić ten snop rękoma, lecz nagle poczułem, że jestem cały zanurzony w Jego świetle i z mego wnętrza popłynęły modlitwy w nieznanym języku. Ogarnęła mnie niewysłowiona radość, która trwała we mnie nawet wtedy, gdy wszyscy rozeszli się do domów.

Przez kilka dni nie umiałem z ludźmi rozmawiać po polsku. Gdy ktoś zadał mi pytanie - z moich ust wypływały słowa w obcym języku. Zaczynałem odpowiadać po polsku, a kończyłem obcym językiem. Dotychczas moja twarz była zawsze poważna. Młodzież pytała mnie: „Józefie, czemu ty się nigdy nie uśmiechniesz?” Teraz stała się radosna. Bóg zupełnie mnie zmienił, wygląd zewnętrzny, ale przede wszystkim wewnętrzny. Od tej chwili zrozumiałem wagę chrztu w Duchu Świętym. Był to zupełnie inny wymiar w modlitwie, w podejściu do Słowa Bożego i do codziennych spraw. Patrzyłem na ludzi nieznaną Bogu z żalem i miłością. Modliłem się za nich. Zauważyłem, że głoszona przeze mnie Ewangelia miała teraz większą siłę oddziaływania. Boże Chwała Ci! Ty uczyniłeś to dla mnie i dla innych! Dziękuję!

Dalszą pracą we Wrocławiu Bóg mi błogosławił pomimo tego, że były trudności. Nie było tak łatwo głosić Słowo Boże, ponieważ zawsze siedział ktoś z milicji i spisywał co głoszone. Nieraz jeden stał za oknem, a drugi w środku, ponieważ chciał sprawdzić tego co był w kaplicy. Gdy przyjechał kaznodzieja do zboru, dyrektor Urzędu do Spraw Wyznań chciał, ażeby przynosić na piśmie jego kazanie. Po dokładnym wywiadzie władze bezpieczeństwa uznały, że nie jestem przeciwnikiem, a solidnym, zdyscyplinowanym i uczciwym pracownikiem. Taka opinia nawet pomogła mi w pracy duchowej.

Kochani, warto zaufać Bogu!.. Przypadków podobnych do opisanych powyżej, było o wiele więcej, lecz wspominam te, ażeby uzmysłowić moim Czytelnikom, jak wiele trzeba przejść burz,

gdy się idzie za Jezusem, lecz zawsze ze wszystkich sytuacji wychodzi się zwycięsko. Alleluja!

Mianowanie na Ewangelistę

Będąc ewangelistą na województwo Śląsko-Dąbrowskie, ale jeszcze bez żadnego udokumentowania, nie mającym czym się wykazać w razie zatrzymania przez władze. Pewnej niedzieli jechałem pociągiem do zboru we Wierzbii na nabożeństwo z biskupem Józefem Czerskim. Często jeździłem tam słuchać kazań brata Czerskiego, ponieważ był on prawdziwym mężem wiary, pełnym Ducha Świętego, bogatym w Słowie Bożym, od którego wiele się nauczyłem. Chodząc z bratem Czerskim nosiliśmy ze sobą torbę pełną literatury chrześcijańskiej, śpiewników i różnych broszur, prawdopodobnie ze Stanów Zjednoczonych, od brata Fugowskiego, ponieważ w Polsce po wojnie ciężko było dostać literaturę chrześcijańską. Pamiętam, że torba była zapakowana po brzegi i dość ciężka.

Pewnej niedzieli roku 1948, wysiedliśmy z pociągu na stacji Łambinowice i szliśmy na nabożeństwo do Wierzbii. Brat Czerski kazał mi iść do przodu z teczkami, a on patrzył, czy umiem te teczki należycie nieść. Wziąłem teczki w prawą rękę i niosę, idąc naprzód. A brat Czerski krzyczy, że ja je źle niosę. Krzyczy, żebym wracał, bo nierówno niosę jego teczki. Ponownie kazał mi iść do przodu i nieść je równo. Staralem się dobrze wykonać swoją pracę, jednak brat Czerski znowu mnie zawołał i ponownie zwrócił uwagę, że źle niosę teczki.

Przycisnąłem teczki do siebie i szedłem jak najprościej umiałem, niestety znowu dostałem reprimendę. Wtedy brat Czerski spojrzal się na mnie ze srogą miną. Jego twarz była poważna i bardzo niezadowolona. Powiedział, że mam iść ulicą i nieść teczki prosto, niestety jeszcze kilka razy poprawiał mnie w obecności innych ludzi, którzy przyjechali z nami pociągiem. Było mi bardzo głupio. Ludzie patrzyli się na mnie i nie wiedzieli, co się dzieje. Już nie pamiętam, ile razy chodziłem z tą teczką po szosie, ale gdy wróciłem, biskup Czerski nie miał już takiej groźnej miny. Uśmiechał się do mnie i dał mi dokument, w którym było napisane, że jestem ewangelistą w obrębie województwa Śląsko-Dąbrowskiego.

Dopiero wtedy zrozumiałem, że wypróbował moją cierpliwość i pokorę. Badał mnie jako młodego sługę Bożego. Sprawdzał, czy jestem pokorny i uniżony. Musiał sprawdzić, czy jako młody ewangelista nie zawiodę Kościoła, w którym - jak się okazało - miałem pracować aż do mojej starości...

Praca na terenie Słupska

Życie moje i mojej rodziny nie było łatwe. Mieszkaliśmy na dalekim przedmieściu Wrocławia, mając na strychu tylko jeden pokój dla nas i dla dwojga naszych dzieci. Do pracy jechaliśmy półtorej godziny, co razem z powrotną drogą zabierało nam trzy godziny dziennie. Modliliśmy się z żoną o objawienie woli Bożej w kwestii dalszego pobytu w tym mieście. Podczas pobytu we Wrocławiu, jako pastor, po pracy musiałem odwiedzać wierzących, potrzebujących wsparcia duchowego i modlitwy, jak również chorych. Wracałem więc późnym wieczorem z dalszych dzielnic Wrocławia, i nieraz bałem się, czy będzie czym wrócić na noc do domu. Pracowaliśmy obydwój z żoną i byliśmy bardzo przemęczeni, tak że nawet podupadliśmy na zdrowiu, a przecież mając dwoje dzieci trzeba było je wychowywać.

Na jedno z nabożeństw dla młodzieży naszego okręgu przyjechał ze Słupska pastor tamtejszego zboru, brat Edward Pruszkowski, i zaproponował mi, ażeby się przeprowadził do Słupska. Chciał tak, ponieważ praca jemu się nie układała i miał zamiar wyjechać stamtąd do Lublina, gdzie był dobrze znany wierzącej rodzinie Myszaków. Zaproponował nam pomoc przy przeprowadzce oraz w otrzymaniu mieszkania.

Modliłem się, że jeśli nie dostanę mieszkania we Wrocławiu przez trzy lata to znaczy, że mam wyjechać z Wrocławia, że Pan ma dla mnie inną pracę. I tak też się stało. Po trzech latach przybył

do nas pastor Pruszkowski w tej sprawie. Po rozważeniu jego propozycji i wspólnej modlitwie z żoną, postanowiliśmy za zgodą naszych przełożonych braci z Kościoła - przeprowadzić się do Słupska na Pomorzu. Był to styczeń 1956 roku. Prawie w tym samym czasie przybył też do Słupska brat Adamiec, który pojął za żonę córkę brata Sztrelała, Beatę. Bóg w cudowny sposób błogosławił pracę w Słupsku. Organizowaliśmy zjazdy wierzących, zjazdy młodzieżowe, konferencje oraz chrzty wiary. Wierzący przyjeżdżali z różnych stron Polski i z zagranicy, ażeby pokrzepić się duchowo i nabrać siły do dalszej służby w swoich zborach. Bóg chrzczył w Duchem Świętym wiele osób.

Pastor Pruszkowski, widząc rozkwit zboru, postanowił się jednak nie wyprowadzać, więc nadal pracowaliśmy razem dla Pana.

Mieszkanie

Nasze warunki mieszkaniowe po przyjeździe do Słupska nieco się zmieniły na lepsze w stosunku do warunków we Wrocławiu, gdyż otrzymaliśmy dwa pokoje mieszkalne w bloku dzięki pomocy pastora Kościoła Metody styczego, ponieważ jego małżonka była kierowniczką administracji miejskiej. Lecz i to nam nie wystarczało, gdyż zamieszkała z nami matka mojej żony. Razem było nas więc pięcioro, a przecież często przyjeżdżali do nas goście, którzy pragnęli przeżyć, odnowienie duchowe, oraz chrzest w Duchu Świętym. Nocowali u wierzących w Słupsku, w tym i u nas. We wszystkich naszych potrzebach i trudnościach zwracaliśmy się do naszego Stwórcy. Kolejny raz przedłożyliśmy Panu sprawę mieszkaniową. Wspominałem w modlitwie naszemu wspaniałemu Ojcu o tym, że w moim rodzinnym domu, miałem ogród, sad, łąki, obok płynęła rzeka, a tutaj przy ul. Lelewela słychać było tylko krzyk dzieci. Poprosiłem, żeby dał choć jedno drzewo, by móc pod nim odpocząć po znojmym dniu. Znając mego kochanego Pana, wiedziałem, że i tej modlitwy wysłucha. Znosiłem więc do piwnicy narzędzia rolnicze, motykę, łopaty i grabie, myśląc o tym, że przydadzą się nam w ogródku, który Bóg nam da. Rzeczywiście, wkrótce nadeszła odpowiedź z nieba. Przyszedł pewien człowiek z propozycją trójzamianny. Zaproponował nam, żebyśmy się zgodzili przeprowadzić do dwurodzinnego domku przy ul. Przemysłowej. Po obejściu domku serce zabiło nam z radości! To było to o czym marzyliśmy.

Mieszkanie było duże, trzypokojowe, przestronne, na parterze. Z przybudówką i ogrodem, gdzie rosło wiele drzew owocowych. Po złożeniu dokumentów do Urzędu Lokalowego i rozpatrzeniu ich, kierownik tegoż urzędu zawiadomił nas, że nie możemy otrzymać tego mieszkania, gdyż jest zbyt duży metraż jak na naszą rodzinę. Kilka razy chodziłem do urzędu w tej sprawie, ale decyzja kierownika była nieugięta. Raz powiedział mi „że choćby przyjechał sam premier Józef Cyrankiewicz z Warszawy, to i tak nic to nie pomoże, gdyż weszła w życie ustawa określająca ilość metrów kwadratowych przypadających na jednego lokatora w mieszkaniu. Innym razem powiedział mi, że prędzej kaktus mu na ręce urośnie, niż ja otrzymam to mieszkanie. Sekretarka Urzędu w tajemnicy powiedziała mi, że istnieje kolejność w przydziałach mieszkaniowych, a moje podanie zawsze leży odłożone na końcu. Kierownik osobiście je tak przekłada.

Choć nie mogłem nic na to poradzić, to pamiętałem, że u Pana Boga wszystko jest możliwe - i rozpoczęliśmy z żoną zanosić do Boga modlitwy z postem. Prosiłiśmy Go o interwencję. Po nocnej modlitwie jeszcze raz poszedłem do Urzędu. Jednak zastępczyni kierownika powiedziała mi, że nie mamy szans. Wracając do domu samotny i smutny, szedłem przez wyludnione ulice. Był ranek i nikogo przechodzącego nie spotkałem. Idę tak koło szpitala i słyszę z parku głos, jakby żeński: - „Pan potrzebuje mieszkania?” Rozejrzałem się naokoło, lecz nikogo nie było. Pomyślałem wtedy: - „Kto mógł wiedzieć, że potrzebuję mieszkania?” Ale odpowiedziałem temu głosowi: - „Jakiego mieszkania?” I znowu ten głos do mnie: - „Pan wie jakiego! Niech pan pójdzie do sekretarza miasta, a on panu da to mieszkanie.”

- „A gdzie jest ten sekretarz?” - zapytałem. - „On pracuje na pierwszym piętrze. Pan się sam dowie” - usłyszałem odpowiedź. Po powrocie do domu powiedziałem o tej sytuacji żonie. Postanowiłem więc pójść, ażeby odszukać tego sekretarza.

Gdy przybyłem do ratusza na pierwsze piętro, zatrzymałem się tam. Stojąc w niepewności, zobaczyłem trzech mężczyzn spacerujących po korytarzu.

W środku między dwoma mężczyznami, przechadzał się wysoki blondyn, który podszedł do mnie i zapytał: - „Czy pan coś potrzebuje?” - „Nie”- odpowiedziałem. Poszli więc dalej, ale wracając jeszcze raz mnie zapytał i tym razem podobnie mu odpowiedziałem. Potem zobaczyłem mego znajomego, więc zapytałem go, czy wie kim jest ten blondyn? Znajomy odpowiedział, że jest on zastępcą przewodniczącego Rady Miasta oraz sekretarzem miasta. Wtedy zrozumiałem, że Bóg naprawdę przyszedł mi z pomocą. Gdy ten wysoki człowiek po raz trzeci zapytał mnie o to samo, odpowiedziałem mu, że mam do niego sprawę. - „Proszę przyjść do mego gabinetu o godzinie dziesiątej” - rzekł. Zaczekałem więc do tego czasu i wszedłem do jego gabinetu. Spojrzał na mnie i zapytał: - „Co pan potrzebuje?” Opowiedziałem mu o całej sprawie związanej z trój zamianą i dodałem, że kierownik mi nie chce dać przydziału. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do owego kierownika, którego akurat nie było w biurze. Jego zastępczyni potwierdziła, że to wszystko, co powiedziałem, jest prawdą. Po wyjaśnieniu obiecał mi, że otrzymam to mieszkanie, ale dopiero za tydzień, ze względu na drogę służbową, gdyż jest on przewodniczącym komisji lokalowej i musi przestrzegać przepisów. - „Proszę przyjść do mnie jutro, także o godzinie dziesiątej” - skwitował. Na drugi dzień poszedłem do niego, przedkładając mu obszerniej moją sprawę. Byłem zszokowany jego reakcją. Jeszcze raz zadzwonił do kierownika. Usłyszałem, jak powiedział mu: - „Towarzyszu, proszę się zwolnić z pracy, ponieważ wy nic nie wiecie! Co się z wami dzieje?! Dlaczego nie daliście Bałuczyńskiemu mieszkania?! Przydziału na mieszkanie?!” Kilka razy powtarzał kierownikowi to samo. W końcu rzekł do mnie: - „Proszę pójść i wziąć swój przydział”. Kierownik nie patrzył mi w oczy, gdyż czuł się niepewnie, że jednak nawet bez premiera Cyrankiewicza musiał podpisać mój przydział na mieszkanie. Alleluja! Dzięki Ci Boże! Zrozumiałem, że nasza modlitwa nie była daremna.

Czułem nieopisaną wdzięczność do Stwórcy. On troszczy się nawet o nasze drobne materialne sprawy. Dziękowałem Mu z całego serca. Długo zastanawiałem się nad powodem przychylnego potraktowania mnie przez sekretarza miasta. Może miał sen, a może wizję? Myślałem o tym i już nigdy się nie dowiedziałem, gdyż podczas szukania go, otrzymałem wiadomość, że już nie żył. Żałowałem, że wcześniej go nie odszukałem. Bóg może zmiękczyć każde serce, i tak naprawdę każdy nasz krok i każda nawet najmniejsza sprawa zależy od Niego. Dziękuję! Był to cud Boży! Do chwili obecnej mieszkam w tym domku i cieszę się, że mamy go od Boga.

Praca w zborze słupskim



Zbór w Słupsku rozrastał się liczebnie i duchowo. Były takie lata, że w ciągu miesiąca aż 32 osoby zostały ochrzczone w Duchu Świętym.

W 1973 roku każdy proszący o chrzest otrzymywał go wcześniej lub później. Jezus również uzdrawiał chorych nie tylko cieleśnie, ale i duchowo. Ludzie byli uwalniani od związków demonicznych i od złych duchów. Nabożeństwa odbywały się trzy razy w tygodniu, a w niedziele nawet dwa razy. Nikt nie uważał tego za zbyt uciążliwe. Także matki dwukrotnie w niedzielę przychodziły ze swoimi małymi dziećmi. Prowadziły je ze sobą, bądź wozily w wózkach. Był taki okres, że w jednym dniu chrzcilo się nawet siedemdziesiąt osób. Zbór był zborom rozmodlonym. Organizowaliśmy nocne modlitwy, grupy modlitewne, szkółki niedzielne dla dzieci, na których oprócz zabaw było głoszone Słowo Boże oraz odbywało się wielbienie Boga modlitwami i pieśnią. Nauczycielkami dzieci były długi czas siostra Marta Truderung, a następnie Ola Sabcich. Mieliśmy zespół śpiewaczy oraz muzyczny. Była nawet grupa dwudziestu młodych ludzi prowadząca uwielbianie na instrumentach dętych, którą prowadził brat Marek Siu-dyk. Odbywały się ewangelizacje namiotowe, na których ewangelistą był późniejszy pastor Mirosław Milewski. Wiele osób mogło usłyszeć Słowo Boże, a także powierzyć swoje

życie Bogu. Nawracali się do Pana. Utrzymywaliśmy szerokie kontakty z wierzącymi nie tylko z Polski, ale i z zagranicy.

Do Słupska przyjeżdżali misjonarze i wierzący z Ameryki, Kanady, Dani, Holandii, Szwecji, Norwegii, Czechosłowacji, Węgier, Niemiec, Anglii, a nawet Afryki i Nowej Zelandii. Nas także zapraszano do wielu krajów. Kilkakrotnie byłem w Ameryce, Kanadzie, Niemczech, Holandii i Danii - głosząc Słowo Boże oraz składając świadectwa o tym, co Bóg dla mnie uczynił. Przyjmowano nas życzliwie. Dowodem błogosławieństwa zboru w Słupsku było to, że zostało w nim wychowanych jedenastu pastorów, którzy później pracowali na Niwie Pańskiej w kraju i za granicą.

Niezależnie od tego, nawiązywałem kontakty z ludźmi z tutejszych okolic. Jeździli ze mną do pomocy brat Pruszkowki, Adamiec, Nanowski i Mazurek. Powstawały grupy modlitewne, które z czasem przeistaczały się w nowe zbory.

W taki właśnie sposób powstał zbor w Ustce, Miastku, Lęborku, Szczecinku, Bytowie. Początkowo spotkania odbywały się w prywatnych mieszkaniach, ale z czasem otrzymywaliśmy budynki na kaplice, pozostałe po Niemcach, które kiedyś były zajęte przez zakłady czy fabryki. Niektóre były bardzo zniszczone. Miejscami trzeba było kupić budynek prywatnie lub budować za własne pieniądze. Wierzący organizowali składki i zbierali ofiary w zborach w Polsce, a także za granicą. Brat pastor Milewski, będąc Prezbiterem Okręgu Pomorskiego, wszystkie sprawy zakupu mieszkań bądź budynków uzgadniał i omawiał wspólnie ze zbozem jak i ze zwierzchnikami Kościoła w Warszawie, między innymi z Prezbiterem Naczelnym Michałem Hydzikiem. Na budowę zboru w Szczecinku pieniądze były pożyczone od zboru w Opolu. Pastor zboru wyraził zgodę, pojechałem więc jako pastor zboru w Szczecinku - do Skoczowa, do brata Biskupa, aby pobrać pieniądze, które brat Biskup miał już u siebie. Pobrałem je, a była to dość ładna suma... Utrwaliła się w mojej pamięci data, gdyż przewoziłem dokumenty finansowe. Był to 1 V 1988 r. Wracając do Słupska pociągiem, gdy dochodziła północ. W Słupsku ulice były już wyludnione i ciemne, a latarnie uliczne wylądzone ze względu na oszczędność energii. Stałem więc niedaleko dworca kolejowego i rozmyślałem. Obawiałem się iść na piechotę do domu, ponieważ odległość od dworca do domu to około 2 kilometry. Autobusów w stronę Przemysławej już nie było. Zacząłem się modlić do Boga, by postawił ochronę przy mnie. Powoli zacząłem iść ulicami do domu. Dochodziłem już do ul. Kasprowicza, ale zatrzymałem się nie wiedząc co mam robić dalej. - „Może jednak wrócić na dworzec i przesiedzieć do rana?” - zastanawiałem się. Bałem się napaści i kradzieży, bo tak dużej kwoty nie dalbym rady nigdy oddać. Gdy tak stałem w rozterce i modlitwie, nagle z bramy wjazdowej budynku wyskoczył bardzo duży pies i biegł w moją stronę. Zatrzymał się przy mnie i zaczął się mi przyglądać. Od ruchowo podniosłem ręce do góry, ponieważ bałem się, że mnie ugryzie, ale on nawet nie zaszczekał. Obszedł tylko naokoło mnie patrząc prosto w oczy. Powiedziałem do niego: - „Może byś mnie zaprowadził do domu?” Pies, jakby rozumiejąc o co mi chodzi, stanął po mojej lewej ręce i zaczął mnie prowadzić w stronę domu. Później skręcił prosto w ulicę Przemysławą, jakby wiedział, gdzie mieszkam. Szedłem więc z nim aż pod sam dom. Po drodze zdziwiłem się, że skręcił w ul. Miedzianą i szedł w stronę furtki, która prowadziła do mego domu. Zatrzymał się przy samej furtce. Podziękowałem mu wtedy i powiedziałem: - „Poczekaj! Przyniosę ci coś do jedzenia, bo zaopiekowałeś się mną.” Ale gdy popatrzyłem przez okno na ganku, zobaczyłem, że poszedł do miasta. Zrozumiałem wtedy, że sam Bóg dał mi stróża na drogę. Kilka razy miałem chęć pogłaskać go, ale bałem się, żeby mnie nie ugryzł, bo był to naprawdę duży pies. Właściwie to nie byłem pewny, czy to tylko pies. Wiedziałem jedno - był posłany przez samego Boga. Chwała Panu za to!

Gdy obecnie rozmyślam o całym moim życiu, to zdaję sobie sprawę z tego, że warto było powierzyć je Bogu. Bóg jest wierny i zgodnie z obietnicą opisaną na kartkach Biblii będzie nas strzegł i prowadził drogami wytyczonymi przez Niego z pożytkiem dla nas. Właściwie w każdym dniu mojej pracy dla Pana spotykało mnie coś wspaniałego. Oczywiście były też nieprzyjemne doświadczenia, kłopoty, smutki i cierpienia, gdyż Bóg nie obiecał nam tylko beztrudnego życia.

Idziemy przecież drogą Jezusa, która jest drogą cierniową. Całe życie czulem jego pomocną dłoń rozpostartą nad nami w każdym czasie.

Opisałem w tej książce nie wszystkie fragmenty z mojego życia, ponieważ tyle lat upłynęło i nie wszystko pamiętam. Wiele wydarzeń nie pozostało w mojej pamięci. Może nie wszystkie opisałem dosłownie. Chciałbym, ażeby Czytelnik miał świadomość, że Bóg jest i opiekuje się swoim dziećmi. Ja miałem to szczęście od mego Pana, że poznałem Go już w młodości, a właściwie to On mnie odnalazł, jak uczy Słowo Boże. Iść z Nim przez życie - to wielka łaska Boża, na którą nie zasłużyłem.

„Łaską zbawieni jesteście przez wiarę, i to nie z was: Boży to dar; nie z uczynków, aby się kto nie chlubił” - pisze apostoł Paweł w Liście do Efezjan (rozdział 2, wersety 8-9).

Mam pełną świadomość ogromnej Bożej łaski względem mnie. Nie rozumiem do końca, dlaczego właśnie ja jej dostąpiłem, ale jestem wdzięczny Bogu, za ogrom Jego miłosierdzia, dobroci i miłości. Pragnę do końca moich dni służyć mu z całej mej siły i nieść ludziom Dobrą Nowinę o zbawieniu w Jezusie Chrystusie. Czynię to biorąc swoją Biblię do teczki i rozdając Nowe Testamenty w pociągu, na dworcach, i gdzie tylko mogę. Zauważyłem zmianę w naszym narodzie. Ludzie bardziej otwierają się na Słowo Boże. W naszym domku prowadzimy grupę modlitewno-wstawienniczą. Zbieramy się raz w tygodniu, by modlić się o zbory, o nasz Kraj, o Kościół Zielonoświątkowy, jego pracowników, a także o chorych i potrzebujących pomocy, o tego, kogo Bóg nam położy na sercu. Widzę wiele wysłuchanych prośb. Chwała Ci Boże! Dzięki Ci!

Bóg zawsze jest wierny swemu Słowu i nigdy nas nie zawiedzie, jeśli oddaliśmy swoje życie w Jego ręce, będzie nas chronił, jak jest napisane w Psalmie 91:

Psalm 91

Kto przebywa w pieczy Najwyższego i w cieniu Wszechmocnego mieszka,
mówi do Pana: „Ucieczko moja i Twierdzo, mój Boże, któremu ufam”.

Bo On sam cię wyzwoli z sidła myśliwego
i od zgubnego słowa.

Okryje cię swymi piórami

i schronisz się pod Jego skrzydła: Jego wierność to puklerz i tarcza.

W nocy nie ułkniesz się strachu ani za dnia - lecącej strzały,
ani zarazy, co idzie w mroku, ni moru, co niszczy w południe.

Choć tysiąc padnie u twego boku, a dziesięć tysięcy po twojej prawicy: ciebie to nie spotka.

Ty ujrzysz na własne oczy:

będziesz widział odpłatę daną grzesznikom.

Albowiem Pan jest twoją ucieczką, jako obrońcę wzięłeś sobie Najwyższego.

Niedola nie przystąpi do ciebie, a cios nie spotka twój namiotu,

bo swoim aniołom dał rozkaz o tobie,

aby cię strzegli na wszystkich twych drogach.

Na rękach będą cię nosili,

abyś nie uraził swej stopy o kamień.

Będziesz stapał po węzłach i zmijach, a lwa i smoka będziesz mógł podeptać.

Ja go wybawię, bo przylgnął do Mnie; osłonię go, bo uznał moje imię.

Będzie Mnie wzywał, a Ja go wysłucham i będę z nim w utrapieniu,

wyzwolę go i sławą obdarzę.

Nasycę go długim życiem i ukazę mu moje zbawienie.

Warto zaufać Bogu...